

Justyna Bednarek

Każdy może być Święty.

czyli nawet ŁOBUZY idą do nieba



Dziergata Anna Salamon

Świetlik



Justyna Bednarek

Każdy może być Święty.

czyli nawet ŁOBUZY idą do nieba



Dziergała Anna Salamon



Trzymasz przed sobą książkę, która opowiada historie prawdziwych ludzi. Takich, którzy żyli kilka, kilkadziesiąt, kilkaset czy nawet kilka tysięcy lat temu. Łączy ich to, że Kościoły na całym świecie uważają ich za świętych. Tylko... co to właściwie znaczy? Jaki jest człowiek, o którym mówią, że jest święty?

„Pan/pani to musi być święty/święta” – słyszą czasem rodzice niesfornych dzieci, gdy tłumaczą im po raz setny i tysięczny, że tego czy tamtego nie wolno, a to należy. To, oczywiście, jest przenośnia – w tym wypadku chodzi o osobę wyjątkowo dobrą i cierpliwą. Ale przecież niektórzy święci byli strasznie niecierpliwi i czasem niezbyt dobrzy. Weźmy takiego Świętego Piotra. Ten był nie tylko niecierpliwy, ale też dość porywczy.

Może więc święty to ktoś strasznie mądry? Też nie. Święty Jan Maria Vianney, patron wszystkich proboszczów, uważany był za człowieka, który nie nadaje się na kaznodzieję, bo, zdaniem swoich przełożonych, nie był dość bystry.

No to może ktoś, kto nigdy nie popełnia błędów? To stwierdzenie także nie pasuje do wizerunku świętego: wystarczy wspomnieć o Świętym Pawle, który przez dużą część życia tępił chrześcijan, by później stać się najbardziej żarliwym uczniem Jezusa.

Żaden święty nie był ideałem, każdy miał wady i bywało, że zachowywał się jak łobuz. Jednak w ocenie człowieka nie jest ważne to, jak nisko upadnie, ale to, jak wysoko potrafi wzlecieć. Nie trzeba być idealnym, żeby zostać świętym. Trzeba natomiast do końca życia się rozwijać, starać się postępować jak najlepiej i kochać Boga.

A co to znaczy: kochać Boga? Jak można kochać kogoś, kogo nie widać? Mądrzejsi ode mnie nie potrafią odpowiedzieć na to pytanie. Najbliżsi prawdy są chyba ci, którzy uważają, że kocha Boga ten, kto widzi go w każdym człowieku – niezależnie od tego, jak bardzo jest on różny od nas samych.

Pisząc tę książkę, czerpałam między innymi z Pisma Świętego, z Apokryfów Nowego Testamentu i Złotej Legendy. Nie wszystko jest wiedzą historyczną, znajdziecie tu trochę legend, a trochę mojej wyobraźni. Ale to, co najważniejsze, jest prawdziwe: ludzka miłość i staranie, żeby zmienić świat wokół siebie na lepsze.

Justyna Bednarek

Prorok Eliasz

OPOWIEŚĆ KRUKA

Zanim poznacie historię Eliasza, pozwólcie, że powiem kilka słów o kimś naprawdę ciekawym... czyli o sobie. Nasz Pan, Jahwe, stworzył kruki piątego dnia, razem z innymi ptakami. Po tym, jak oddzielił dzień od nocy, ulepił niebo z błękitnej mgiełki i zgromadził całą wodę w jednym miejscu, żeby ziemia pozostała sucha. Zaraz też wyrosły na niej zboża, obsypane kwiatami krzewy oraz drzewa. Brakowało tylko słońca, żeby ogrzać zziębnięte rośliny.

Dobry Jahwe zawiesił je więc na niebie, dając mu do towarzystwa trochę innych planet i gwiazd. Cieszył się swoim dziełem jak młody tata, który czeka na narodziny dziecka i wiesza kolorową lampę na suficie.

No więc gdy wszystko było gotowe na przyjęcie życia, Pan nasz wypuścił do wody ryby, a na niebo – nas, ptaki. Słowiki, szczygły, szpaki, gołębie, wróble, mazurki, żurawie, sroki, a nawet kury, które podobno pochodzą od dinozaurów.

Wreszcie w tym pięknym, kolorowym świecie pojawili się moi przodkowie, czyli kruki. Dosłownie jeden dzień przed człowiekiem. Na szczęście ptaki mają w pamięci doświadczenia swoich poprzedników i przekazują je sobie z pokolenia na pokolenie. Przeczytacie o tym w kolejnych historiach moich skrzydlatych braci.

Bóg obdarzył mnie wyjątkową błyskotliwością i urodą. A jednak nikt mnie nie lubił. Wszyscy zachwycali się śpiewem słowików, sprytem srok, gołębie nosiły gałązki oliwne albo ważne listy. A ja? Byłem czarny jak noc, a kiedy śpiewałem, ludzie uważali to za zły znak. Miałem tego powyżej dzioba.



– Nie myśl, że nie jestem ci wdzięczny, Panie Boże! – powiedziałem któregoś dnia. – Dałeś mi lśniące, czarne skrzydła, mocny dziób, poczucie humoru i mądrość. Mogę żyć nawet piętnaście lat i cały czas mam tę samą żonę, co powinno się uważać za zaletę. A jednak nie jestem doceniany. Boją się mnie, uważają za wysłannika diabła...

Pan Bóg udał, że jest zdziwiony, choć to przecież niemożliwe.

– Naprawdę? W takim razie trzeba to naprawić! – powiedział. – Wiem nawet jak. Mam dla ciebie misję, drogi kuku. Chodzi o mojego przyjaciela, Eliasza...



Elias urodził się w miejscowości Tiszbe, w północnym państwie Izraela (bo wtedy Izrael był podzielony na dwie części), dziewięćset lat przed Jezusem Chrystusem i trzy tysiące lat przed wami, którzy to czytacie. Był prorokiem, a to znaczy, że słyszał głos Boga i przekazywał jego słowa innym ludziom.

W tym czasie królem był Achab, człowiek chciwy i o słabym charakterze. Jego żona, Izebel, pochodziła z narodu, który czcił Baala, pogańskiego boga burzy i deszczu. Na jego cześć wznoszono posągi w kształcie złotych cielców i modlono się do nich.

– Eliaszu, upomnij ich – szepnął Bóg do ucha swojemu prorokowi.

– Źle robicie! I dopóki nie zmienicie swojego postępowania, nie spadnie tu ani jedna kropla deszczu! – powiedział więc Elias Achabowi.

I tak się stało: w całej okolicy zapanowała susza. A jak jest susza – nic nie rośnie i zaczyna brakować jedzenia.

Rozgniewał się Achab, ale jeszcze bardziej rozgniewała się królowa Izebel.

– Musisz uciekać – rozkazał Bóg Eliasowi, więc prorok ukrył się w grocie nad strumieniem.

Temu wszystkiemu przyglądałem się z góry ja.

– Nic tu nie rośnie – powiedziałem do Pana mego, Jahwe. – Co prawda Elias nie padnie z pragnienia, bo ma pod ręką strumień, ale z głodu już umrzeć może.

– I właśnie teraz do historii wkraczasz ty, drogi kuku, cały na czarno!

– Co masz na myśli, Panie?

– To właśnie jest twoja misja: będziesz karmił Eliasza!

Tak więc codziennie rano i po południu zanosilem prorokowi porcję mięsa, aby nie opadł z sił i mógł ruszyć w dalszą drogę. Szedł i opowiadał, jak dobry jest Jahwe, jedyny Bóg Izraela.

Po pewnym czasie dotarł do Sarepty, niedaleko Sydonu. Mieszkała tam pewna uboga wdowa z synem.

– Daj mi pić i jeść – poprosił ją Elias.

I kobieta dała mu wody i upiekła placuszek.

– Wybacz, że jest tak mały, ale mam tylko garść mąki i resztkę oliwy w baryłce. Gdy to się skończy, umrzemy z głodu, ja i mój syn.

– Panie Boże, nie dopuść do tego, aby tej dobrej kobiecie zabrakło jedzenia – szepnął Elias, a Bóg go wysłuchał i stał się cud.

Każdego dnia biedna wdowa miała dość mąki, żeby upiec jeszcze jeden placek, a oliwa w baryłce nigdy się nie kończyła.

Obserwowałem to wszystko, siedząc na gałęzi sykomory.

Mijał czas, a deszcz nie nadchodził.

Król Achab postanowił porozmawiać z Eliaszem.

– To ty jesteś wszystkiemu winny! Odebrałeś nam deszcz!

– Nie, królu, ty jesteś winny, bo oddawałeś cześć Baalowi i odwróciłeś się od jedynego prawdziwego Boga. Twoi poddani wzięli z ciebie zły przykład. Ale dobrze, przekonamy się, kto ma rację. Wezwij cały lud Izraela i wszystkich czterystu pięćdziesięciu proroków Baala.

Król posłuchał Eliasza.

Wielki tłum zebrał się na górze Karmel. Wtedy Elias poprosił pogańskich kapłanów, aby złożyli ofiarę. Sam uczynił podobnie.

– A teraz wołajcie do waszego boga, niech podpali stos ofiarny – powiedział.

I czterystu pięćdziesięciu proroków wzywało Baala, aby rozpalił ogień. Odpowiedzią była martwa cisza.

Wtedy zaczął się modlić Elias. Po chwili płomień spadł z nieba i podpalił jego stos. Ofiara została przyjęta.

W ten sposób jeden prorok Elias pokonał czterystu pięćdziesięciu proroków Baala, a Izraelici, którzy byli świadkami tego cudu, wrócili do wiary w Jahwe, jedynego prawdziwego Boga.

Ale na tym nie skończyły się problemy Eliasza. Teraz musiał uciekać przed gniewem królowej Izebel.

– Mam już tego dosyć, mój Boże – jęczał. – Męczę się i staram, aby głosić twoją chwałę, i ciągle mam z tego powodu kłopoty. No i te okropne wątpliwości... Wydaje mi się, że słyszę twój głos... ale czy to prawda?

– Wejdź na tę górę, Eliaszu – powiedział Bóg. – Stań naprzeciwko mnie!

Prorok wdrapał się więc na górę i wtedy rozpętała się burza. Ale Boga nie było w burzy. Potem zaczęła szarpać nim potężna wichura, a z nieba spadł ogień. Ale Boga nie było ani w wichurze, ani w ogniu. Gdy wreszcie wszystko ucichło, Eliaz poczuł łagodny powiew, a w nim – Boga.

– Jeszcze trochę pracy przed tobą – szepnął Bóg głosem, który mogło usłyszeć tylko otwarte serce. – Idź w kierunku Damaszku. Spotkasz po drodze Elizeusza, syna Safata z Abel-Mechola. On zostanie twoim następcą, moim prorokiem, który zajmie twe miejsce, gdy zabiorę cię do nieba.

Ja, kruk, choć jestem najmądrzejszym z ptaków, nie miałem pojęcia, jak mój Pan chce, aby człowiek trafił do nieba, skoro nie ma skrzydeł.

Więc Eliaz ruszył przed siebie i rzeczywiście, spotkał Elizeusza, który uprawiał pole. Gdy prorok wyjawiał mu wolę Boga, chłopak bez chwili wahania zostawił swój pług, pożegnał się z rodzicami i odtąd towarzyszył Eliazowi.

Mijał czas. Stałem się już bardzo starym krukiem, a i Eliaz – starym człowiekiem.

– Drogi Elizeuszu – powiedział prorok pewnego dnia. – Co chcesz, abym ci dał, zanim odejdę z tego świata?

– Chciałbym być jak ty, mistrzu – odparł chłopak. – Chciałbym słyszeć głos Pana, mieć choćby dwie trzecie twojego ducha.

– Jeśli zobaczysz, jak odlatuję do nieba, to znaczy, że twoje pragnienie się spełni – rzekł Eliaz.

I wtedy stało się coś niezwykłego. Niebo otworzyło się i wyjechał z niego wóz ognisty, zaprzęgnięty w ogniste rumaki. Porwał starego proroka i uniósł w górę tak szybko, że ledwo za nimi nadążyłem.

Elizeusz wyciągnął ręce ku niebu, a wtedy z góry spadł płaszcz Eliasza. Młody prorok zarzucił go na ramiona i ruszył przed siebie, aby opowiadać ludziom o jedynym Bogu i jego cudach.

PROROK NIGDY NIE MA LEKKO

Słowo **PROROK** pochodzi od greckiego *prophetes* (προφήτης), które znaczy tyle co „przemawiać w czyimś imieniu”. Prorok jest bowiem tym, który przekazuje ludziom słowa jedynego Boga: ustanowione przez niego prawa, nakazy, napomnienia czy też zachęty do przemiany życia.

Choć w Biblii mowa jest o wielu prorokach, żaden z nich nie wybrał swojego zawodu z własnej woli. Każdy stał się nim w odpowiedzi na **WEZWANIE JAHWE**.

Do Mojżesza – tego, który przekazał ludziom **DZIESIĘĆ PRZYKAZAŃ** – Bóg po raz pierwszy przemówił z płonącego krzewu. Do Eliasza przybył w cichym powiewie. Młodego Samuela zawołał po imieniu, jednak chłopiec nie znał głosu Boga i pomyślał, że wzywa go jego opiekun, kapłan Hele.

Życie żadnego proroka nie było usłane różami: kto przyjął na siebie rolę **POŚREDNIKA** między Bogiem a ludźmi, musiał się liczyć z prześladowaniem, bo Boże upomnienia czy prawa często są trudne do przyjęcia.



ANNA

Święta Anna

OPOWIEŚĆ KUKUŁKI

Kuku! Opowiem wam historię babci Pana Jezusa. Wszystko zdarzyło się... oj dawno! Kiedy? Gdybym, licząc lata, zaczęła kukać, zdarłabym sobie gardło. Ale wy możecie to policzyć.



Pan Jezus przyszedł na świat ponad dwa tysiące lat temu. Zatem jego babcia musiała się urodzić wcześniej. Pewnie o jakieś pięćdziesiąt lat. W tamtych czasach dziewczynki wychodziły za mąż bardzo młodo. Ania mogła mieć więc piętnaście lat.

Jej mężem został Joachim – mężczyzna o pobożności tak imponującej jak jego broda. W Betlejem, gdzie znajdował się rodzinny dom Anny, mówiono, że Joachim zostawiał sobie tylko jedną trzecią pieniędzy, które zarobił na swoich owcach i baranach. Resztę rozdawał potrzebującym i zanosił do świątyni.

Kiedyś siedziałam na gałęzi figowca i przysłuchiwałam się rozmowom Ani i jej koleżanek.

– Wykukaj mi, kukułko, kiedy wyjdę za mąż! – poprosiła Marta, która miała już trzynaście lat.

Zakukałam więc trzy razy.

– I mnie też wykukaj! – powiedziała Magda, rok starsza od przyjaciółki.

Zakukałam cztery razy.

– I mnie, i mnie! – dopominała się Anna.

Zdażyłam zakukać jeden raz, gdy na podwórko wszedł Joachim. Spłoszona poderwałam się do lotu.

– To znak – chichotała Marta. – Pewnie wyjdiesz właśnie za niego!

Anna się zaczerwieniła i szybko uciekła do domu.

Jednak to naprawdę był znak. Rok później została żoną Joachima.

Bardzo byli szczęśliwi: uwielbiali podziwiać wschody słońca, ciężko pracowali i dużo się śmiali. Mieli sporo przyjaciół i lubili opowiadać sobie ciekawe historie na zakończenie dnia. Jednego im tylko brakowało do szczęścia: dziecka.

– Czyżby pan Bóg nas nie lubił? – martwiła się Anna. – Kukułko – poprosiła mnie któregoś dnia. – Leć do nieba i powiedz dobremu Jahwe, że jeśli mi pobłogosławi i urodzę córeczkę, oddamy ją z Joachimem na służbę do świątyni.

Leciałam ile sił w skrzydłach, możecie to sobie wyobrazić.

Zaniosłam modlitwę Anny i położyłam na listku rajskiej koniczyny, u stóp dobrego Boga. On uśmiechnął się tajemniczo, ale niczego nie powiedział.

Niestety! Lata mijały, a dziecka ciągle nie było.

– Na pewno mu przekazałaś moje słowa? – dopytywała Anna.

A ja powtarzałam: kuku, kuku, kuku...

I tak na kukaniu upłynęło całe dwadzieścia lat. Małżonkowie pogodzili się już z myślą, że w ich domu nigdy nie rozlegnie się tupot małych bosych stópek.

Któregoś dnia Joachim wybrał się do świątyni i stanął razem z grupą pobożnych Żydów, którzy ofiarowywali Bogu kadzidło. Wtedy jednak podszedł do niego pisarz świątyni o imieniu Ruben. Bardzo niemiły typ.

– Nie masz prawa, Joachimie, stać razem z innymi i składać ofiary – powiedział. – Bóg cię nie lubi, bo nie dał ci dzieci.

Możecie sobie wyobrazić, jak strasznie jego słowa zaboląły Joachima.

Zwiesił głowę, odwrócił się i wyszedł.

Obserwowałam to wszystko, siedząc na gzymsie świątyni. Jestem tylko zwykłą kukułką, ale i mnie serce ścisnęło się z żalu. Zawsze cierpię, gdy widzę, jak ludzie ranią się nawzajem. My, ptaki, nigdy tak nie postępujemy.

Tymczasem przybity Joachim wrócił do swoich owiec i poprowadził je wysoko w góry, gdzie postanowił pościć i modlić się o córkę. Nie chciał wracać do domu.

Anna godzinami stała przy oknie, wypatrując męża. Na płaczu i tęsknocie mijały kolejne tygodnie.

Tak upłynęło czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Pewnego dnia Anna wyszła przed dom i unosząc ręce ku niebu, krzyknęła:

– Dlaczego mi to robisz, Boże?! Dajesz potomstwo ptakom, zającom, kotom, nawet rybom. Tylko ja nie dostałam od ciebie upragnionego dziecka, a teraz straciłam także męża.

– Kuku! – zawołałam do niej, bo tylko to umiałam powiedzieć.

Chciałam, żeby wiedziała, że jej los nie jest mi obojętny.

– Nie spisałaś się, kukułko – płakała Anna. – Miałaś zanieść moją modlitwę do nieba, a ty co? Potrafisz tylko człowiekowi wypominać upływający czas!

Chciałam zaprzeczyć, ale wtedy nagle dookoła zrobiło się bardzo jasno, choć był już późny wieczór. Anna zakryła oczy ręką.

Stanął przed nią skrzydlaty anioł w pięknej złotej sukni. Uśmiechnął się i zerwał z krzaka jagodę.

– Słodka – powiedział i oblizał się ze smakiem.

– Kim jesteś? – wyszeptała Anna.

– Jestem aniołem, wysłannikiem samego Jahwe. Przyleciałem, żeby ci powiedzieć, że nie masz racji: kukułka sprawiła się jak należy. Twoja prośba zostanie spełniona i to już niebawem. Jesteś w ciąży, Anno, i za cztery miesiące urodzisz córeczkę!

Kobieta o mało nie zemdląła z wrażenia.

– Ale co z moim mężem? – wyszeptała.

– Zamarudził trochę w górach – powiedział anioł. – Zaraz po niego polecę! – A potem wpakował do ust jeszcze kilka jagód i odleciał tak szybko, że Anna nie była pewna, czy to wszystko rzeczywiście się wydarzyło, czy to tylko blask gwiazd tak ją oczarował.

Ten sam anioł ukazał się Joachimowi i kazał mu wracać do domu.

Parę miesięcy później urodziła się Miriam, Marysia, Maryja – dziewczynka dobra, mądra i śliczna. Mama Pana Jezusa.

Dziś Święta Anna, mistrzyni czekania i cierpliwości, jest patronką matek, żon, wdów i kobiet, które pragną dziecka.

Natomiast ja, moje pisklaki, wnuki i prawnuki towarzyszyliśmy Świętej Rodzinie w kolejnych latach.

Kiedy nadeszło najtrudniejsze i krzyżowano Pana Jezusa, chmara skrzydlatych obrońców próbowała nie dopuścić do tego, by wbito gwoździe w jego ręce i nogi. Chyba wiecie, co to były za ptaki...

Właśnie tak!

Kuku, kuku, kuku...





Święty Józef

OPOWIEŚĆ OSŁA



Ludzie uważają, że jestem uparty. Albo głupi. Jeśli chcą kogoś obrazić, mówią do niego: „Ty osle!”. Nie powiem, żeby mi było z tego powodu miło. A przecież niewiele zwierząt miało okazję pracować z tak wspaniałym człowiekiem jak Józef z Nazaretu. Tak, Józef to nie byle kto. Pochodził z doskonałej rodziny, wywodzącej się od samego króla Dawida. Mówią o nim, że był cieślą, lecz tak naprawdę wykonywał drewniane rolnicze narzędzia.

Dzięki Józefowi trafiłem do najślawniejszej książki świata, czyli Biblii. A konkretnie – do Nowego Testamentu. Właśnie tam jest opisane, jak idziemy ramię w ramię, ja i mój przyjaciel Józef. Spotkaliśmy się w nietypowych okolicznościach. Byłem tak zwanym „wolnym osłem”, nie miałem pana. Dobrze mi było w życiu, nie musiałem niczego dźwigać ani ciągnąć. Niestety pewnego dnia skaleczyłem się w nogę. I gdy tak stałem, nie wiedząc, co począć, pojawił się on, Józef. Opatrzył mi nogę i zabrał do swojego domu. Stało się to chwilę po tym, jak poślubił córkę Anny, Marię – przyszłą matkę Pana Jezusa.

Józef owdowiał w wieku trzydziestu trzech lat. Miał czworo dzieci, które urodziła mu jego pierwsza żona, Salomea. Jakub, Juda Tadeusz, Lizja i Lidia byli już praktycznie dorośli, gdy ich ojciec postanowił ożenić się z Marią.

To dość skomplikowana sprawa: zanim zamieszkali razem, okazało się, że Maria spodziewa się dziecka. Historia dobrze wszystkim znana: Duch Święty sprawił, że zaszła w ciążę, a dzieckiem miał być Pan Jezus, Syn jedyne Boga. Taki cud zdarzył się tylko raz w historii ludzkości. Jak więc w to uwierzyć, skoro świat nigdy jeszcze nie słyszał o niczym podobnym?

Biednym Józefem targały wątpliwości. Oczywiście, zaufał żonie, gdy opowiadała o aniele, który zstąpił z nieba. Wiedział, że nie mogłaby go oszukać. Ale cała sytuacja go przerosła. Nie czuł się gotowy na to, żeby wychowywać tak niezwykle dziecko. Postanowił, że odeśle Marię ze swojego domu – gdzieś,

gdzie nikt by ich nie znał i gdzie mogłaby spokojnie żyć sobie z synkiem. Wtedy przysnił mu się anioł i dodał mu otuchy:

– Dasz radę, Józefie! – powiedział. – Zaopiekuj się chłopcem! Właśnie tobie Bóg powierzył to zadanie! – Więc Józef go posłuchał.

W tym czasie cesarz August wydał rozporządzenie, żeby każdy obywatel udał się do miasta, z którego pochodził, i uczestniczył w spisie ludności.

Józef posadził Marię na moim grzbiecie i poszliśmy do Betlejem.

Wędrowaliśmy długo i byliśmy już mocno zmęczeni, jednak najbardziej skonana była żona Józefa. I z tego zmęczenia zaczęła rodzić. Czym prędzej chcieliśmy znaleźć dla niej jakieś spokojne miejsce, żeby dziecko mogło przyjść na świat. Chodziliśmy od gospody do gospody, Józef oferował godziwą zapłatę, ale nikt nie chciał nas przyjąć. Miejsca nie było, tak mówili. Wpadłem na pomysł, żebyśmy się ukryli w jakiejś grocie. Trąciłem łbem Józefa i spojrzałem mu w oczy. W końcu człowiek, który jest zdolny usłyszeć głos anioła, potrafi także zrozumieć osła. Zanieśliśmy Marię w bezpieczne miejsce. Józef zdjął płaszcz i rozciągnął na sianie, a potem delikatnie ułożył na nim swoją kochaną żonę.

Chłopiec urodził się śliczny, foremniutki i naprawdę zdrowo wrzeszczał.

– Dziękuję Ci, Boże – wyszeptał Józef. – Nazwiemy go Jezus, tak jak chciałeś.

Wydawałoby się, że wszystko już będzie dobrze. Jednak wkrótce mieliśmy w stajence niecodzienną wizytę – trzech obcokrajowcy przyjechali, jak sami twierdzili, z trzech różnych stron świata. Byli to tak zwani magowie, astrologowie badający niebo i ludzkie losy. Z układu gwiazd wyczytali, że właśnie teraz, w Betlejem, w naszej grocie przebywa największy władca, najmądrzejszy i najpotężniejszy, który zmieni świat. Wszyscy trzech padli na twarz przed maleńkim Jezusem. A potem zostawili mu dary i pojechali. Traf chciał, że szukając nas, odwiedzili króla Heroda i powiedzieli mu o celu swojej wyprawy.

– Zaraz, zaraz, jaki władca? Jaki potężny? U mnie? Gdzie? – zapytał.

A potem poprosił magów, żeby wstąpili do niego w drodze powrotnej i opisali miejsce pobytu tego wielkiego człowieka, by i on mógł oddać mu pokłon.

Obłudnik! Wcale nie miał zamiaru kłaniać się przed Jezusem. Chciał go po prostu zabić, bo nie lubił konkurencji. To on miał być jedynym władcą w okolicy.

Wtedy ponownie do akcji wkroczył anioł. Ten sam, który wcześniej odwiedził Józefa. Trzem magom kazał wracać inną drogą i nie zajeżdżać do Heroda, a Józefowi polecił, by szybko spakował rodzinę i uciekał do Egiptu.

– Ale jak? Jak mam to zrobić? – niepokoił się Józef.

– Jak to jak? Przecież przysłałem ci osła!

Czem prędzej poniosłem więc moją rodzinę na grzbiecie do bezpiecznej przystani. Tam pozostali kilka lat, aż wszystko się uspokoiło i mogli spokojnie wrócić do Betlejem, a potem do Nazaretu.

W żadnej Ewangelii nie ma słowa wypowiedzianego przez Józefa. Wiadomo, że był dobry, pracowity i dbał o rodzinę. O osła też wspomina się tylko mimochodem, a przecież i ja odegrałem ważną rolę w całej tej historii.

Dzieje moje i mojego pana dowodzą, że drugoplanowa rola też jest ważna. Skromny, cichy człowiek potrafi być wielki. Osioł też. Przecież gdyby nie my, cała ta historia mogła się potoczyć zupełnie inaczej.

RODZINA JEZUSA

KREWNA Pana Jezusa była Elżbieta, do której jego mama wybrała się z wizytą w czasie, kiedy obie były w ciąży. Elżbieta urodziła jako pierwsza, a jej synem był Jan, zwany Chrzcicielem, **KUZYŃ JEZUSA**.

Rodziną nazywamy też naszych **BLISKICH PRZYJACIÓŁ**. Takimi byli dla Chrystusa Łazarz, Marta i Maria. To Łazarz został przez niego wskrzeszony kilka dnia po śmierci. A jeśli wierzymy w to, że Pan Jezus wciąż żyje w Królestwie Niebieskim, my także możemy zostać jego rodziną – wystarczy go mocno kochać.



Święta Maria Magdalena

OPOWIEŚĆ ZŁOTOWŁOSEJ

Tak właśnie o mnie mówili: złotowłosa. Ci, którzy mnie znali, wołali: Maria albo Maria Magdalena. Tak się nazywam, ale złotowłosą lubiłam najbardziej.

Zawsze miałam wspaniałe pukle, nigdy ich nie obcinałam. Dbałam o nie, cześlałam, wcierałam w nie olejki, żeby piękniej błyszcząły i pachniały. Zaplecione, tworzyły potężny warkocz.

Gdy byłam starsza i szłam przez miasteczko, zdarzało się, że jakiś niezdolny chłopak próbował mi dokuczyć. Łapałam wtedy ten warkocz i kręciłam nim jak biczem. Był tak mocny i twardy, że lepiej było nim nie oberwać.

Jednak nie o włosach chciałam mówić, tylko o tym, że w pewnym momencie zaczęłam chorować. To tajemnicza choroba – możemy ją nazwać: „chcę więcej”. Jeśli nie wiecie, o co chodzi, to dobrze – obojęcie się nigdy nie dowiedzieli. Jest to bowiem bardzo nieprzyjemna przypadłość. Człowiek nigdy nie jest zadowolony – niezależnie od tego, ile posiada. Może to dopaść każdego.

Powiedzmy, że ktoś się wami zachwyci, powie: masz piękne włosy! Albo: jaka piękna kolekcja modeli samochodów! Zdrowy człowiek się ucieszy, podziękuje i odpowie: rzeczywiście, jestem dumny ze swoich włosów. Albo: zbierałam te auta kilka lat, jestem zadowolona z mojej kolekcji, dziękuję za komplement. A potem wróci do swoich spraw.



Jednak chora osoba pomyśli: tych komplementów jest za mało! Albo: przecież inni mają większe kolekcje samochodów!

Jeśli przypadkiem zachorujecie na „chcę więcej”, nic nie będzie się dla was liczyć, tylko to, żeby wszystko trwało dłużej i dawało więcej: przyjemności, lajków, godzin przy komputerze, pieniędzy albo uznania innych ludzi. W pewnym momencie, żeby mieć to „więcej”, człowiek gotowy jest złamać wszystkie zasady, a i tak nic nie daje mu szczęścia.

I tak było ze mną: im więcej brałam, tym więcej łamałam zasad; im więcej zdobywałam, tym gorzej się czułam.

Pewnego dnia dowiedziałam się, że w domu faryzeusza Szymona przebywa bardzo mądry człowiek – cudotwórca, który leczy ludzi. Nauczyciel. Jezus.

„Jeśli on mnie nie uratuje, to już chyba nikt” – pomyślałam.

Schowałam do kieszeni buteleczkę z drogocennym pięknie pachnącym olejkiem i pobiegłam do niego.

Najpierw obserwowałam go przez okno: siedział przy stole i mówił coś do zebranych ludzi. Było ich tak wielu, że nie mieścili się w pokoju i kilku musiało stać na zewnątrz, słuchając przez uchylone drzwi. Chcieli mnie przegonić – nikt w okolicy mnie nie lubił. „Jawnogrzesznica” – tak mówili.

Jednak jakimś cudem udało mi się wepchnąć do środka. Uklęłam na ziemi u stóp Nauczyciela, wyciągnęłam z kieszeni olejek, oblałam mu stopy, a potem wytarłam je swoimi włosami, czyli tym, co miałam najcenniejszego.

Pierwszy poderwał się z ławy Szymon.

– Panie, dlaczego na to pozwalasz? Czyżbyś nie wiedział, kim ona jest? I na co choruje?

Ale Jezus powstrzymał go ruchem ręki.

– Popatrz, jak bardzo żałuje, jak bardzo chce być dobra! Wytarła mi nogi tym, co ma najcenniejszego: swoimi włosami. Nikt mnie nie potraktował tak jak ona. Nawet ty, a przecież jestem twoim gościem. Dlatego wszystkie złe rzeczy, które robiła do tej pory, już się nie liczą. Tak, Mario Magdaleno – zwrócił się do mnie. – Idź i bądź dobra. Twoje winy zostały zmazane.

Poczułam się lekka jak ptak. I wreszcie wyleczona. Wszystko zaczęło mnie cieszyć: kwitnący jaśmin, śpiew ptaka, złoty piasek na plaży. Och, jak bardzo byłam szczęśliwa! Miałam cały świat: zapach jaśminu, trele słowika i spaceru nad morzem.

Czułam ogromną wdzięczność do mojego lekarza. Gdy ruszył w drogę, podążyłam za nim i obserwowałam go z daleka. Widziałam, że wyleczył jeszcze wielu innych ludzi.

Wśród uzdrowionych była też pewna kobieta, która nazywała się tak samo jak ja: Maria Magdalena. Mówiono, że wyrzucił z niej siedem złych duchów. Dziś pewnie by się powiedziało, że uleczył ją z epilepsji albo z jakiejś choroby psychicznej.

Ta druga Maria Magdalena przyłączyła się do jego uczniów i towarzyszyła mu aż do śmierci na krzyżu. Była bystra, inteligentna i Jezus lubił z nią rozmawiać. Ją też wyróżnił spośród wszystkich swoich uczniów: ona pierwsza poznała tajemnicę Zmartwychwstania.

Przybiegła do jego grobu i zobaczyła najpierw aniołów siedzących w pustej grocie, a potem swojego nauczyciela, który kazał jej zanieść dobrą nowinę pozostałym uczniom.

Z czasem ludzie zaczęli nas mylić i wielu myli nas do dziś. To ta druga Maria Magdalena jest świętą, pod której wezwaniem wznosi się kościoły. To ona stała się patronką fryzjerów, kobiet, ogrodników, studentów i więźniów.

A ja? Już do końca świata będę znakiem Bożego Miłosierdzia.

